ROZMAITOŚCI.

Dnia 31. sierpnia, Nr. 35. roku 1844.

List o trzech pieczęciach.

Z PAPIERÓW STAREGO ŻEGLARZA.

Niech żyje morze! Mnie się nigdy dobrze na stałym lądzie nie wiodło. Stały ląd jestto różnobarwna, różnych przedmiotów mieszanina; jestto zbuntowane dziecko morza, które się nadaremnie swoim rodzimym samobytem przechwala, a jednak swojéj wilgotnéj rodowitości zatrzéć nie może i zawsze się do morza, jako do swego macierzyńskiego łona o pomoc uciekać musi. Ja się nie mało gruntownemu zbadaniu rzeczy oddawałem i doszedłem: że wszystkie twory lądowe są właściwie tylko mniéjwięcéj ogładzonémi i okrzesanémi tworami morza, i mógłbym o tém grubą książkę napisać, ale ponieważ w służbie morskiéj żyję, więcby mnie i moję umiejętność o stronnictwo posądzono, a ja się bez tego obejść mogę.

Wszelkie nauki żeglarskie odbyłem należycie. Jeszcze będąc dzieckiem, ile razy morze swojémi dużémi, poczciwémi, zielonémi oczyma na mnie spojrzało, gniewałem się o to mocno, że mię natura niewygodnym, płucowym organem do wyższéj atmosfery przywiązała i nie dozwoliła zatopić się na zawsze w piękną, kryształową głębinę, po któréj nieustannie pływając, jużbym nigdy fałszywego lądu nie zwidził.

Mam wielką nienawiść ku ziemi, bo wszystko złe com przecierpiał, od stałego lądu wyszło, ztamtąd się do mojego okrętu przyczepiło, a nawet mi samo świéże powietrze morskie zatruło. Niech kaci porwą ląd stały! nie raz sobie pomyślałem. Opowiém wam zdarzenie, które jak się spodziéwam, usprawiedliwi zawziętość moję.

Mówiłem już żem odbył należycie moję morską nauką: będąc jeszcze chłopcem wpadłem już kilka razy w wodę; świadectwem przebytéj choroby morskiéj mogę się wykazać; byłem jako majtek tęgo nieraz przetrzepany a jako żołniérz morski kulami podziurawiony; byłem jako kapitan okrętów kupieckich przez korsarzów a jako korsarz znowu przez kapitanów okrętów kupieckich posiekany. I jeźli kiedyś nazawsze, jak sobie tego nieraz w chwilach mojéj hipokondryi życzę, rzuci mię szalona burza w zielone, odęte objęcia mojéj przyjaciółki, natenczas będzie się przynajmniéj życie moje mogło konsekwencyją pochlubić, o co mojéj dumie najbardziéj chodzi.

Źle się wówczas działo we Francyi gdym właśnie został kapitanem małego lecz wcale niezgorszego kupieckiego okrętu. Śmiertelną chorobą porażony był kraj cały, z tysiącznych ran krew sączył, sam je w swojém szaleństwie rozdziérał, a przecież nie mogło to łykowate życie ostatniego wyzionąć ducha. Wściekła burza anarchii zawichrzyła całe królestwo; życzliwego sternika, który nie zdołał od jednego razu zakląć téj burzy, zamordowała szalona tłuszcza — cały potężny okręt tego państwa miał się już tylkoco rozbić. Strasznetto były czasy. Widziałem tylko niektóre uboczne sceny téj morderczéj trajedyi, lecz odtąd wzmogła się moja niechęć ku stałemu lądowi do najwyższego stopnia i stała się już niewyleczoną.

Dobrych żołniérzy morskich także wtedy nie było. Dawna królewska marynarka, Bóg świadkiem, wcale nie najgorsza, utraciła nagle wszystkich swych oficerów; musiano tedy naturalnie chwytać co się gdzie nastręczyło. Tak się stało, że i ja, który się nigdy o lądowy gmin nie troszczyłem, otrzy-

małem niespodziane wezwanie. Dla nowości, przyjąłem co mi dawano. Otóż poruczono mi komendę brygu *»Marat«*. To nienawistne nazwisko, którém się już wtenczas z całéj duszy brzydziłem, omal mnie nie skłoniło porzucić tę całą sprawę. Na końcu jednak pomyślałem sobie: Niezadługo wyskrobiecie wy sami to plugawe nazwisko, i tak przyjąłem służbę.

Byłoto 28. fruktidora roku 1797, gdy otrzymałem rozkaz przygotować się w podróż do Kayenny. Miałem tam zawieźć sześćdziesięciu żołnierzy i jednego wygnańca, pozostałego jeszcze ze stu ośmdziesięciu trzech nieszczęśliwych towarzyszów, których już fregata *»Décade«* przed kilką dniami na pokład zabrała. Zlecono mi obchodzić się z nim łagodnie a piérwszy mandat dyrektoryjatu zawiérał w sobie drugi, trzema czerwonémi pieczęciami zamknięty, z których średnia pieczęć była nadzwyczajnéj wielkości. Tego drugiego mandatu nie kazano mi otwiérać wprzódy, aż póki nie dopłyniemy piérwszego stopnia północnéj szérokości, to jest, póki nie będziemy mieli właśnie równik przebywać. Zresztą miał ten polecony mi list nader dziwaczną postać; był on długi i tak szczelnie złożony, że ani przez okładkę, ani żadnym innym sposobem nie można było dojść najmniejszego słowa jego wewnętrznéj treści. Z początku śmiałem się z tego papiérowego owocu, który dopiéro w pobliżkości równika miał dojrzeć i być zerwanym; późniéj jednak, — bo jak powiedziałem, mam niejaki nałóg do hipokondryi, — złościł mię ten niemy papiérowy towarzysz, który swémi trzema czerwonémi oczami tak niemo i bezczelnie na mnie patrzył, jak gdyby się tą, w brzuchu swoim zawartą tajemnicą chciał pysznić; jednakże późniéj na jego widok zaczął mię jakiś tajemny - strach przejmować. Na każdy wypadek musiał to być jakiś list niepoczciwy. Pocóżby inaczéj z taką wymyślną dokładnością wyznaczał czas i miejsce, kiedy i gdzie miał powiedzieć, co tak w sobie tajno ukrywał? Był on opieczętowany na stałym lądzie i miał téż cały podstępny, nieszczéry charakter stałego lądu; dla tego był mi nieznośnym, i byłbym wolał raczéj darować mu zupełnie całą jego tajemnicę, po któréj i tak nie wiele dobrego spodziéwać się mogłem. Włożyłem ten złowrogi list pod szkło starego angielskiego pendułu, który nad mojém łóżkiem wisiał.

Byłoto prawdziwe żeglarskie łóżko. Nie jestem bynajmniéj próżnym, ale mogę zapewnić, że pokój księżniczki nie może być tak ładnie urządzonym, jak pokój okrętowy. Każda rzecz ma tu swoje maleńkie miejsce, swój ćwioczek. Niech się okręt jak chce kołysze, wszystko tu trzyma się w najściślejszym porządku. Wszystkie ruchomości są tu urządzone podług formy okrętu i jego małych pokojów. Moje łóżko byłato skrzynia. Otwarłszy ją, spałem w niéj, zamknąwszy ją, miałem z niéj sofę, na któréj sobie lulkę kurzyłem. Niekiedy służyła mi téż za stolik, a wtenczas trzeba było siadać na jednę z baryłek, co w moim pokoju stały. Ale zato podłoga pokoju była gładka jak mahoń a świéciła się jak brylant. Jednem słowem, byłto wcale ładny pokoik, jako téż w ogólności i cały mój bryg wyglądał nie ladajako.

Zanosiło się na wyśmienitą podróż i powinienbym miéć był najweselszy humor, gdyby mi ten przeklęty list nie był chodził po głowie. Wziąłem go tedy i wsadziłem pod szkło mego pendułu. Zdaje mi się że ozwałem się przytém z przekleństwem; tego nie pamiętam dobrze, ale byłem w nadzwyczajnym gniewie. Trzy cygary, które jeden po drugim nie chciały się zapalić, zdeptałem na miazgę. To mię już do szaleństwa przywiodło. Tupnąłem nogą ażem się sam przestraszył. Na szczęście wszedł w téj chwili Jakób do pokoju — Jakób, który w podobnych razach zawsze mię udobruchał.

Ale muszę przecież oznajmić wprzódy, kto był ten Jakób. Wprawdzie trudno mi to samemu powiedzieć właściwie i wyraźnie. Jakób był u mnie, prawdę mówiąc oraz, wszystkiém i niczém. Byłby mógł być dobrym żołnierzem, bo był śmiały i wierny, ale był znowu na ten stan zanadto krnąbnym i grubianinem; byłby był dobrym żeglarzem, bo się czegoś uczył, ale miał nato zbyt miękkie serce. Byłbym go mianował moim służącym, lecz onby tego nazwiska nie sciérpiał, chociaż w istocie, pełnił z wzorową pilnością każdą na-

wet najdrobniejszą posługę około mojéj osoby. Byłbym go nazwał moim przyjacielem, aby przecież coś z niego zrobić, lecz to nie wypadało, gdyż ja byłem kapitanem a Jakób mniéj niż czémkolwiek, bo był właściwie niczém. Mimo to znaczył Jakób u mnie wiele, chociaż nie dawałem mu tego do poznania, i byłem zły bardzo, jeźli się to kiedy mimo méj woli stało.

Sam nie wiém co mię do niego przywiązywało. Niebył on ładnym; ludzie wymyślnego smaku byliby go nawet brzydkim nazwali, a sami majtkowie moi, ile razy przy pięknéj pogodzie z pokładu ryby na wędkę łowili, a Jakób im się przypatrywał, zawsze go upraszali, aby się trochę daléj ustąpił, gdyż mógłby swoją twarzą im ryby odstraszyć. Byłto jeden z téj małéj liczby żartów, z których się Jakób zazwyczaj śmiał serdecznie, bo zresztą był zawsze ponury i małomowny, a jeźli kto sobie chciał z niego zażartować, wtedy bywał grubianem. a to mu się często zdarzało. Przy jednéj z dawniejszych potyczek z korsarzami, gdy po zahaczeniu naszego okrętu i rozbrojeniu moich ludzi, kilku z tych drabów na mnie napadło i już mię zabić chcieli, rzucił się Jakób między mnie a moich nieprzyjacioł, okrył mię swojém ciałem i przyjął na swoje własne plecy i w swoję własną głowę wszystkie cięcia, które były mnie przeznaczone. W chwili naszego największego niebezpieczeństwa, nadpłynął szczęściem jakiś mocno uzbrojony okręt kupiecki i zmusił korsarzów do ucieczki. Jakób, jak kotlet posiekany, został złożony na łóżko; mieliśmy go już za umarłego. Ku naszemu zdziwieniu zapewnił nas lekarz o jego życiu. Przystąpiłem do jego łoża; właśnie co rozwarł oczy. Niezdolny powściągnąć moich uczuć, chciałem mu się rzucić na jego ranne piersi. Wzdrygnął się i mruknął przytłumionym, ale zawsze swoim zwyczajnym, grubiańskim głosem: »Pfe, wstydź się kapitanie! To nie wypada!« — I miał słuszność, to nie wypadało, bo ja byłem kapitanem a Jakób był niczém. Ale przecież odtąd miałem go zawsze na sercu, a on mnie podobnież, jak się zdaje. A jednak przytém wszystkiém omało żeśmy się na naszéj przedostatniéj wyprawie morskiéj zupełnie nie rozstali. Mój chłopiec kajutowy, łotr wielki, wsunął się w nocy do mojego pokoju podczas kiedy ja spałem i okradł mię niegodziwie. Wszyscy nastawali na mnie abym go kazał powiesić, i ja téż byłem tego samego zdania. Wydałem już był stosowny rozkaz, gdy oto wszedł Jakób do pokoju i rzekł do mnie oziębłe: »Kapitanie, ten chłopiec nie powinien wisiéć, bo jego rodzice są ladaco!« —»Témci bardziéj,« odpowiedziałem, »w ten sposób postaramy się przynajmniéj, aby ich ród łotrowski zaginął.« — »Wszystko to dobrze kapitanie, lecz jego rodzice już go od najmłodszych lat do kradzieży i innych bezecnych sprawek wprawili, więc on poniekąd jest temu niewinien że kradnie.« — »Będzie powieszony;« potwierdziłem.—»Kapitanie, jeźli tego chłopca powiesić każesz, natenczas ja pójdę sobie w świat za oczy.« — To było już dla mnie zanadto. Poskoczyłem z największą złością ku niemu i wrzasnąłem: »Łotrze! Zaraz, jak tylko wylądujemy, pójdziesz sobie gdzie zechcesz na wszystkie wiatry, a chłopiec będzie wisiał.« — »Jakób wyszedł za drzwi spokojnie. Gniewałem się strasznie na niego; w końcu jednakże dałem pardon chłopcu a do następnego poranku poszło wszystko w niepamięć. Gdyśmy za miesiąc do portu zawinęli, przyszedł Jakób do mnie, podał mi rękę i rzekł: »Bywaj zdrów, kapitanie!« — »Cóż takiego?« zapytałem. — »A, ruszam sobie na wszystkie wiatry.« — Teraz dopiéro przypomniałem sobie co zaszło. »Chcesz mię tedy opuścić Jakóbie?« — »Tak kazałeś kapitanie przed miesiącem.« — »Ah, przed miesiącem. Teraz każę ci: zostań.« — Jakób przymrugnął coś oczyma; zdawało się, że łzę przydławił. »Dobrze kapitanie,« odezwał się nieco płaczliwie, »zostanę, bo — bo — sądzę, że pana kapitana cokolwiek kocham. Ale mam jednę słabość kapitanie: raz tylko a nie dwa razy dam sobie powiedzieć, abym sobie poszedł na wszystkie wiatry. Najbliższą pańską żeglugę odbędę jako ochotnik. Jeźli mi każesz znowu pójść sobie na — albo jeźli mi się to będzie zkąd inąd potrzebném zdawać, więc pójdę sobie natychmiast.« — »Tak jest! Zapewne z pokładu w morze; albo chyba masz takie trzewiki, że niémi po wodzie do domu zabiegniesz!«

Tak mówiąc śmiałem się z niego. — »Już to moja rzecz, kapitanie. Zgoda więc na warunek?« — »Zgoda! Przystaję;« zapewniłem go, a Jakób pożegnał się i poszedł. Gdym tedy ostatnią razą miał puścić się do Kayenny zjawił się Jakób nagle w małéj, świeżutko wyciosanéj łodzi, i wypłynąwszy od lądu przybił do mojego okrętu. — »Dzień dobry, Jakóbie!« zawołałem nań uprzejmie. »Powiedz mi, czyjato jest ta mała, ładna łódka?« — »Mój własny statek kapitanie,« odpowiedział. »Jest tam także trochę żywności w razie potrzeby. Musisz kapitanie pozwolić abym przyczepił tę łódkę do twojego okrętu, albo rzucił ją na wierzch pokładu; jestto tylko na wypadek, gdybym musiał ruszać piechotą na wszystkie wiatry.« — »Że ty przecież zawsze szalonym być musisz, Jakóbie,« mruknąłem. »Mniejsza oto, przyczep sobie twój okręt lub rzuć go na wierzch pokładu. Tylko mi nie mów więcéj o tém dzieciństwie!« — Ztém poszedłem do kajuty a Jakób przypiął łódź do okrętu. Majtkowie dziwili się nie mało, co ta przyczepka znaczyć miała, zwłaszcza że się tam skrzynia sucharów i beczka wody znajdowały. Ale Jakób nie odpowiadał ani słowa; oni go też złościć nie chcieli; bo go lubili dla tego bardzo, że chociaż będąc u mnie w łaskach, nigdy nie używał swego znaczenia na co innego, jak tylko na wyjednanie im rozmaitych ulżeń i na wywabienie odemnie nie jednéj baryłki araku, którym potém majtków częstował. Ztąd poszło, że byliby się za niego zabić dali, chociaż się z nimi po grubiańsku obchodził. Jedno słowo z ust jego było w stanie uśmierzyć najzaciętszą kłótnię między czeladzią okrętową, a ja sam, jeśli nie chciałem czasem użyć środków surowych, musiałem szukać jego pośrednictwa, aby sobie osadę na swoję stronę nakłonić.

Ale ten wywód charakteru Jakóba zbił mię zupełnie z toru mojéj powieści. Wiém że się zawsze rozgadam, gdy przyjdzie o Jakóbie mówić. — Otóż opowiadałem, w jak nieznośny humor ów list mię wprawił, gdy Jakób wszedł do pokoju. Popatrzył na mnie z boku. »Czyś w złym humorze kapitanie?« zapytał. — »A tobie co do tego?« odparłem gniewnie. — »Słusznie mówisz kapitanie!« odrzekł ozięble i chciał odejść. — »To zostań przecież, głupcze!« dodałem nieco łagodniéj. »Cóż tam takiego?« — »Nic kapitanie! Wygnaniec którego wieziemy do Kayenny, chciał panu kapitanowi swoje uszanowanie złożyć; ale czas nato, aż będziesz w lepszym humorze.« — »Nie, Jakóbie, niéma czasu nato. Nie wypada aby ludzie na mój dobry humor czekali. Przyprowadź go tutaj.«

Jakób wyszedł i po kilku chwilach otworzył drzwi nanowo, a ładny chłopiec wszedł do kajuty; byłto brunet, w kędziorach, mający może lat dziewiętnaście. Pod ramię zaś prowadził jasnowłosego anioła, śliczną, świeżą dziewczynkę, która zaledwie szesnaście lat mieć mogła. Zmieszałem się cokolwiek i dopiéro teraz z przerażeniem postrzegłem, żem był tylko, z przeproszeniem powiedziawszy, w jednéj koszuli. Piorunem zarzuciłem mundur na siebie i powitałem ich tak uprzejmie, jak tylko moja natura morska tego mi dozwalała. Młoda parka odpowiedziała na moje powitanie takim poufnym uśmiéchem, iż uznałem za rzecz stosowną zawiesić moje komplimenta na kołek i ścisnąć ich oboje za ręce po przyjacielsku. Jakož w saméj rzeczy było na twarzy moich młodych gości tyle dziecinnéj dobroci i tyle potulnego zaufania, że mi się po kilku minutach zdało, jakbym ich znał już od dawna.

»Zapewne pańska siostra, mój młody przyjacielu?« zapytałem wskazując na jasnowłosego anioła. Dziewczynka upiekła wielkiego raka.

»Nie, kapitanie, nie moja siostra,« odpowiedział młodzian z uśmiéchem. »Mam owszem honor przedstawić panu moją żóneczkę.«

»Tam do licha! Tak młody a już żonaty. Winszuję panu z całego serca.«

»O, my już oddawna pobrani!« żartował sobie młodzieniec. »Nie prawdaż, moja staruszko?« — Zwrócił to pytanie do jasnowłosej dziewczynki. Ona zamiast odpowiedzi poskoczyła chybko jak sarna ku niemu, i ściskała go, całowała, a on ją wzajem. Byłyto swawolne, rozkochane w sobie dzieci, a mnie się przy ich pieszczotach jakoś

dziwnie na sercu robiło. Wszakże i kapitan okrętowy nie jest hajem morskim tylko człowiekiem.

»O, widać to, żeście już długo z sobą pobrani!« śmiałem się. »Jużeście szkaradnie zobojętnieli dla siebie.«

Młodzieniec ucałował jeszcze raz swoją żonkę i puścił ją. »Na honor kapitanie! Jesteśmy już od trzech dni poślubieni;« rzekł napół żartobliwie napół seryjo. »Trzy dni są już także sporym kawałkiem czasu.

»Rozumie się, moja stara małżeńska paro!« odpowiedziałem wesoło. »W każdym razie witam was u siebie z całego serca. Mamy odbywać długą wspólną podróż ze sobą; lecz to mi jest tém miléj, bo się będę mógł tém dłużéj waszém towarzystwem cieszyć. A spodziewam się że i moi młodzi przyjaciele będą ze mnie kontenci. Przebacz pani, żeś mię w takim negliżu zastała; byłem właśnie przy pracy.«

»Wszakżeśmy ci nie przeszkodzili, kapitanie?« zagadła luba kobiétka.

»O, jest jeszcze dość czasu do téj pracy. Chciałem tylko przymocować ów list do ściany; nie mogłem jednak sam tego zrobić.«

»Więc pomożemy ci, kapitanie!« zawołali oboje razem.

»Możecie to w samej rzeczy uczynić, moi kochani. Weźmiemy się natychmiast do roboty.«

Co się też zaraz stało. Młody małżonek uchwycił młotek, młodziuchna żona wzięła ćwieki; podawali mi na moje żądanie wszystko, co mi potrzeba było, a ona wołała na mnie: »W lewo, w prawo, kapitanie,« śmiejąc się pusto ze mnie, gdy chwiejący się okręt kołysał pendul to na tę, to na tę stronę. Zdaje mi się że dzisiaj jeszcze słyszę jéj luby głosik »na prawo, na lewo, kapitanie!« Swawolnica, stroiła żarty ze mnie i umyślnie nieraz fałszywy znak mi dawała.

»Poczekaj — niedobra staruszko!« odpowiadałem — »poskarzę ja się na ciebie przed twoim mężem.«

To dało powód kochankom do nowych pieszczot. Cackali się i całowali, że mi się w oczach ćmiło. I ani się nawet nie żenowali przedemną, jak gdybym był już od dawna ich znajomym.

Wkrótceśmy się téż istotnie zaznajomili, i wyznaję, iż dla mnie, który dotąd po większéj części tylko z pijanymi majtkami miałem do czynienia, ich towarzystwo stało się prawdziwém dobrodziejstwem, a niezadługo niezbędną potrzebą. Byliśmy prawie wciąż razem. Opowiadałem im o dzikich zbójcach morskich, o bliznach, jakiémi głowę mi poznaczyli; oni przysłuchiwali mi się z widocznym udziałem, a jak tylko spojrzeli na siebie, zaraz się całowali. Przezto nie dosłyszeli zapewne niejednego ustępu opowiadania mojego, ale nie pokazywali tego po sobie, a ja im téż nie brałem za złe téj nieuwagi. O stan ich i nazwisko nie pytałem ich wcale, zwłaszcza widząc że milczeli o tém nie tak z namysłu jak z dziecinnego zapomnienia. Nie pytałem go także o powód jego wygnania, bo to do mnie nie należało; a dotego wiedziałem dobrze że dyrektoryjat tylko dla chwilowego humoru często ludzi na wygnanie skazywał. Działo się wówczas dość niesumiennie we Francyi, a zbrodnia była tam podczas rewolucyi bezpieczniejsza niż cnota. Tak tedy nic więcéj nie wiedziałem jak tylko że mąż się nazywał Ludwik a żona Joanna. Na tém było mi dosyć, gdyż mogłem ich teraz nazywać po imieniu. Nie wiém nawet czy im moje nazwisko powiedziałem. Lecz i oni tego nie potrzebowali; z początku mówili do mnie: kapitanie! a później, gdyśmy się bliżéj zapoznali, papo! Tak więc, ja stary kawaler, zostałem raz przecie papą. To mię niewymownie drażniło.

I Jakób też miewał udział w naszém towarzyskiém kole. Lubo w swojéj skromności zawsze nieco z ubocza stawał, polubili go przecież Ludwik i Joanna podobnie jak i ja; każde bowiem szlachetne serce poznało wkrótce mimo nieokrzesanéj powierzchowności, całą nieocenioną wartość spaniałéj jego duszy. Względem Joanny zachowywał się Jakób z taką uwagą, że przy wszelkiéj jego rubaszności, można go było niekiedy delikatnym nazwać. Względem Ludwika nie miał już tyle uwagi, chociaż tysiącznémi drobnémi przysługami i oznakami przywiązania, dostatecznie mu okazywał jak go polubił. Przy pogodném niebie, podczas ciepłego powietrza, skakali Ludwik i Jakób w morze, ale nawet wprawny Jakób nie mógł chyżemu i śmiałemu Ludwikowi zrównać w pływaniu. Cieszyło mię to bardzo że Ludwik tak dobrze z moją starą przyjaciółką — wodą — był obeznany, i kochałem go odtąd dwójnasób.

Na ów zakazany list nie pamiętałem już teraz wiele; moi nowi przyjaciele rozerwali zupełnie moje myśli. Jeźlim przypadkiem był kiedy w niebardzo dobrym humorze, wtedy pytała mię Joanna żartobliwie, czy mnie znowu list nie przestraszył. Wstydziłem się więc tego i śmiałem się z nią razem.

Jednego dnia rzekłem do nich: »Nie zdajęż się wam, moi młodzi przyjaciele, jakobyśmy wszyscy tu tak obecni, istotnie jedną tylko małą rodziną byli? Nic to do mnie nie należy, ani téż się was o to pytać zamierzam, ale sądzę, że wam zbytek pieniędzy nie doskwiera, i że

zapewne mało co więcéj macie, niż wam potrzeba.«

Joanna spuściła oczy, Ludwik zaś zerwał się śmiejąc z miejsca, sięgnął do kieszeni i pokazując mi lnidora, rzekł wesoło: »Patrz papo, krzywdzisz mię najniesłuszniéj; oto mam o całego luidora więcéj niż potrzebuję; bo w czasie całéj podróży musisz nas żywić swémi porcyjami, jak to sam wiész najlepiéj, a zatém nic nam nie trzeba.«

»To wszystko dobrze,« odparłem rozgniewany nieco jego francuzką lekkomyślnością. »Wysiadłszy jednak na ląd, możecie wiele rzeczy potrzebować. Jesteście oboje zbyt delikatni abyście jak inni wygnańcy w Kayennie mogli kopać ryskalem ziemię albo drwa rąbać. Jeżeli się nie mylę że mię lubicie, tedy bynajmniéj nie stoję oto, aby porzucić mój stary bryg, który już i tak burzami i morską wodą niemiłosiernie stérany, i zostać się tam z wami na lądzie, gdyby wam się to podobało. Niémam innéj familii prócz Jakóba i mego psa fundlandzkiego, a to nie dosyć, bo Jakób mi czasem gdéra, a pies chodzi na polowanie. Wy bylibyście dla mnie stateczniejszém towarzystwem. Ja zaś mógłbym wam w wielu rzeczech pomagać, i szczérze mówiąc, uzbiérałem dość znaczną sumę kontrabandy, z którejbyśmy żyć mogli, a któraby się wam pozostała, gdybym się raz przeniósł do wieczności. Jakże, cóż wy na to powiécie?«

Ludwik słuchał mię z uwagą. »Waćpan jesteś zacnym, kochanym przyjacielem, kapitanie!« rzekł daleko poważniéj, niż zwykle mówił. »Ale toby wpana wcale w niedobrém świetle u dyrektoryjatu wystawiło, gdybyś chciał żyć z wygnańcami.«

»Nie znam twego przestępstwa Ludwiku!« odpowiedziałem. »I nierad jestem dowiadywać się o niém, przynajmniéj teraz. Ale twoja twarz i twój humor nie wyglądają mi jak na zbrodniarza, i chętniebym natychmiast zamieniał na oślep moje stare sumienie za twoje. Wiém ja, jak teraz rzeczy we Francyi stoją, wiém, że sprawiedliwość nie jest tam teraz boginią, wyższą nad wszelką ludzką nienawiść, lecz upartą, złośliwą i popędliwą megerą. Tylko w czasie naszéj podróży, jak długo pod moim dozorem jesteś, uważam cię za więźnia, i mimo mojéj wszelkiéj przyjaźni, prędzéjbym ciebie moją własną ręką zabił, niżli wypuścił. Ale stąpiwszy raz nogą na brzeg, jestem ci już przyjacielem i ojcem, a skoro jeszcze odłożę epolety na stronę, nie jestem już więcéj ani admirałem, ani czémkolwiek w świecie, i niedbam już o nic, ani nawet o dyrektoryjat. Zresztą kto wié, co się prędzéj czy później stanie; bo tak jak teraz jest we Francyi, nie potrwa i nie może trwać długo; daję wam moję głowę.«

»Ha, więc obaczymy, mój dobry, kochany papo;« rzekł Ludwik urywając.

Joanna postrzegła, że jéj mąż życzył sobie zacząć inną rozmowę. Napomknęła tedy o liście.

»Do kroćset diabłów!« krzyknąłem. »Ten przeklęty list wypadł mi wcale z pamięci. Mógłbym był sobie pięknego figla zrobić. Gdybyśmy byli piérwszy stopień północnéj szerokości minęli, zanimbym ten list był otworzył, natenczas nie pozostałoby mi było nic innego, jak chyba rzucić się w paszczękę piérwszego lepszego haja. Szczęście dla mnie, żeś mi, moje drogie dziecię, w sam czas ten przeklęty list przypomniała! Ale gdzieżem ja szalony moje zdrowe zmysły zapodział!«

Spojrzałem natychmiast na mapę i obaczyłem ku mojemu zaspokojeniu żeśmy jeszcze przynajmniéj z tydzień do piérwszego stopnia dopływać mieli. Odtąd jednak nie zapomniałem ani na chwilę o tym liście. Jak bojaźliwe dziecko wieczorem zawsze w najciemniejszy kąt patrzy, a potém trwożnie oczy odwraca, aby nanowo tam spojrzéć, tak też i ja spoglądałem codziennie ze sto razy na list mój, chociaż jego widok coraz bardziéj moję nieodgadnioną odrazę ku niemu wzmagał. Nie mogłem sobie wybić z głowy, że te trzy czerwone pieczęci jak trzy krwawe plamy wyglądają, a w odległości kilku kroków było to podobieństwo nawet bez przyczynienia się wyobraźni, wcale nie mało uderzającém. Gdybym był niémiał tak miłego towarzystwa, byłbym się był nieraz okrutnie znudził; lecz ci dwoje małych ludzi rozweselali mię kolejno to swojémi dowcipnémi żartami, to swoją wzajemną czułością. Nie było tam końca pieszczeniu się i cackaniu; byli wciąż razem jak para gołąbków nierozstajnych. Widno było wyraźnie, że każde z nich obojga, po stracie drugiego, musiałoby zatęsknić i zginąć!

(Dokończenie nastąpi.)

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 35. i obejmuje: 1) O nowéj uprawie ziemiopłodów rzędami na dwie stopy od siebie odległémi i o wynikających ztąd korzyściach. (Z ryciną.) 2) Groszek soczewny. 3) Krzyca czyli żyto krzaczyste. (*Staudekorn.*) 4) O spleczeniu i oschnieniu żył i łopatek u koni. 5) Sposób aby nowe pilniki do użytku zrobić trwalszémi i zdatniejszémi; przez dokt. Hänle. 6) Przepis pieczenia pierników. 7) O woskowaniu podłogi. 8) Przedni sér urządzony sposobem angielskim. 9) W jakim razie bujną pszenicę można na wiosnę kosić? 10) Spo-

sób robienia piwa z jałowcu lub odrostków sosnowych. 11) Późna siejba żyta ozimego. 12) Niektóre powody do chorób kartofli. 13) Złe skutki obcinania naci kartoflanéj i krajania kartofli. 14) Objaśnienie cyganka używanego w wadowickim obwodzie. (Z rycinką załączoną przy numerze 34. Tygodnika.) Nadesłane.

Dziennika mód paryskich, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Nr. 18. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Bełkotka, wiérsz przez Iwo. 2) Wet za wet. (Ciąg dalszy.) 3) Gdyby, wiérsz przez Kornela Ujejskiego. 4) Ukrainky z Nutoju Tymka Padurry. Warszawa r. 1844. 5) Nowości literackie.

Z Warszawy. *Przeglądu naukowego* Nr. 18. zawiéra: Zarysy Syberyi przez A. W. — Rzuty o wychowaniu osób pojedyńczych i ludów, według filozofii stanowiska twórczości, czyli samorodnéj polskiéj. — Do Redakcyi Przeglądu Naukowego, od Mazura z Płockiego. Niektóre komplimenta ze starego rękopismu. Próbka poezyi z tegoż. — *Orationes Paschales*, listy. — Rozmaitości: O Tyzenhauza Ornitologii, przez wydawcę Tygodnika petersburskiego. — Lekarstwo na suchoty, przez A. Wagę. — Kronika piśmiennicza polska: Album na korzyść pogorzelców galicyjskich. (Dokończenie.)

Nr. 19. tegoż samego pisma zawiéra: Kazimiérz Brodziński, jego własnoręczne pamiętniki, życie i dzieła, wydane w Wilnie, przez Skimborowicza. — Wspomnienia młodości, przez Kazimierza Brodzińskiego. — Krótka wiadomość o wielkim pożarze ognia, wydarzonym w Gnieźnie, r. 1819. z akt Gdańska udzielona. — Poezyje: Wyspa, czyli: Chrystyjan i jego towarzysze, przekład z lorda Bajrona, przez Antoniego Zawadzkiego. — Nowości.

Z Wiednia. Bartłomiéj Kopitar, jeden z najznakomitszych tegoczesnych filologów słowiańskich umarł w Wiédniu, dnia 11. b. m. Urodzony r. 1780. w Répnje, w Krainie, oddawał się od najwcześniejszéj młodości nauce języków słowiańskich i ich literatury, i wypracował najprzód wyborną gramatykę języka kraińskiego. Otrzymawszy w tym czasie urząd przy c. k. biblijotyce nadwornéj, został w r. 1814 wysłany sam jeden do Paryża, aby wywiezione tamże przez Francuzów skarby biblijoteki nadwornéj sprowadzić nazad do Wiednia; którego też polecenia dopełnił z najlepszym skutkiem. Odtąd trudnił się ciągle około cesarskiéj biblijoteki i ogłaszał po różnych czasopismach wiele uczonych artykułów dziejowéj i lingwistycznéj treści, które mu powszechną sławę zjednały. Ostatniémi jego filologijnemi pracami były redakcyja najstarszego psałterza polskiego, znalezionego w kosciele św. Floryjana i wydanie starożytnego zabytku głagolicy. Wkrótce przed śmiercią otrzymał pruski order *pour le merite* i stopień c. k. radcy nadwornego.

Machiny nie są przyczyną nędzy i niedostatku na świecie, te bowiem były już dawno przed machinami, i przed tysiącami jeszcze laty zmuszały całe plemiona do opuszczania domu i roli, a szukania sobie gościnniejszéj ojczyzny. Gdyby machiny były winą teraźniejszych złych czasów, byłoby gréchem przeciw ludzkości, gdyby ich natychmiast wszystkich nie wytępiono. Lecz krótka chwila rozwagi może nas przekonać, że źródło wszystkiego złego nie leży w martwych narzędziach lecz w głowie i sercu ludzkiém. Dopóki jest dość miejsca na ziemi dla jéj mieszkańców, dopóty też mogą oni znaleźć dość pracy i środków utrzymania dla siebie. Główną przy tém jest rzeczą, aby nie była naruszona równowaga ludzkich sił i ich potrzeb, i aby te zawsze w równym stosunku do sił i płodów ziemi się miały. Cóż człowiekowi z tego, że okryje swoję rolę bawełną a swoje drzewa jedwabnikami, jeżli musi cierpiéć niedostatek potrzebniejszych środków do życia? Cóż pomogą ludzkiemu towarzystwu jak i pojedyńczemu posiadaczowi, niezmierzone włości bogactwa, których dochodów nie jest w stanie sam spożyć? W takimto niestosunku szukajmy przyczyny nędzy i braku zarobienia sobie chleba, a znajdziemy wkrótce i środek przeciwko temu złemu.

Poszukiwania w głębi morza około Spithead. Jak wiadomo, doprowadził jenerał angielskiego korpusu inżynierów i nadzorca wszystkich żelaznych kolei w Anglii, pan Paisley, do tego, że za pomocą polepszonych przez siebie aparatów nurkowych, jakoteż użycia bateryi Wolty do zapalenia min w morzu, zdoła teraz każdy na dnie morza zatopiony okręt rozebrać w kawałki i dobyć na powierzchnię. Gdy, dzięki jego niezmordowanéj gorliwości, powiodło mu się niedawno rozbić w ten sposób cały tułów linijowego okrętu *»Royal-George«*, który jeszcze przed 62 laty w skutek przypadkowéj eksplozyi zatonął był w porcie Spithead, i gdy najmniejszy szczątek tego okrętu wydostał z morza, prosił admirała Rowley, aby w czasie ostatniéj obecności króla saskiego w tym porcie kazał wojennemu okrętowi o 120 działach *»Saint-Vincent«* rzucić na tém samém miejscu kotwicę, gdzie z powodu owego rozbitego okrętu *»Royal-George«* była dotąd mielizna. Mimo że okręt na więcéj niż 60 stóp głębokości szedł w wodę, nie doznał przecie najmniejszego uszkodzenia. Obecnie rozpoczął jenerał Paisley rozbiéranie okrętu wojennego *»Edgar«*, którego miejsce zatonięcia na 175 stóp pod powierzchnią morza tém odkrył, iż kazał długie, hakami opatrzone łańcuchy włóczyć w różnych kierunkach po dnie morza. Tym sposobem wydobyto już 18 dział z tułowu *»Edgara«* na wierzch.

Zysk jednego jest stratą drugiego. Ateńczyk Demades skazał pewnego ateńskiego obywatela, który się trudnił handlém pogrzebnego przyrządu, na karę zato, iż chciał zbytnie zarabiać na swym towarze, a jeszcze bardziéj: iż ten zarobek jedynie śmierci swoich współobywatelí był winien. O ile piérwszy powód tego wyroku chwalebnym nam się wydaje, o tyle jest drugi niedostatecznym i błahym, gdyż trudno sobie wystawić zysk jakikolwiek, któryby nie był ze stratą drugich połączony, przezco wszelka nabyta korzyść potępionąby być musiała. Jeżli się więc nad tém ściśle zastanowimy, przekonamy się, że nawet sama natura, ta nieporównana mistrzyni życia, podobnie sobie w swojém wielkiem działaniu postępuje, gdyż powstanie, wzrost i zakwitnienie każdego tworu, pociąga za sobą zgon i zniszczenie innych tworów, jak to już Lukrecy powiedział: *»Nam quodcunque suis mutatum finibus exit, continuo hoc mors est illius quod fuit ante.«* I tak się też na całym świecie dzieje. Rolnik przedroża swoje płody w latach nieurodzaju; budowniczy zbogaca się pożarami i waleniem się domów; śklarz zarabia na gradzie, co szyby tłucze; fijakier cieszy się z niepogody; modniarz korzysta z głupoty młodych wietrzników i małp wystrojonych. Adwokatom są kłótnie, swary, pieniactwo, lekarzom najdotkliwsze choroby i cierpienia źródłem korzyści; podrzędny idzie w górę gdy jego przełożony na dół do grobu wstępuje; dla samych nawet sług bożych wynika zysk z śmierci bliźnich; a prawdziwy wojownik nie cieszy się bynajmniéj upragnionym przez wszystkich innych pokojem, lecz odnosi zdobycz i sławę w wojnie, która pusto-

sząc całe kraje ogniem i mieczem, stawia sobie trofeje z dymiących pogorzelisk i stosów zabitych ludzi. Co więcéj — chociaż to jeszcze smutniejsze wyznanie, — lecz zajrzyjmy tylko w głąb naszéj własnéj piersi a uczujemy, że większa część naszych najskrytszych życzeń, mimo wszelką szlachetność i dobroć serca, kosztem innych powstaje i wzrasta!

Don Manuel Godoy. Mało jest osób, które tak nadzwyczajnych kolei losów doznały jak Don Manuel Godoy, nazwany księciem pokoju. Urodzony w roku 1764 w szlacheckim lecz ubogim stanie, wyszedł ze stopnia prostego Garde-du-Corps tak wysoko, iż przez 20 lat samowładnie Hiszpaniją rządził, i z synowicą króla Karola IV. się ożenił. Od 36 lat zostawał w zupełnéj niełasce. Po śmierci starego Karola IV. i królowéj Maryi Ludwiki, udał się do Paryża, gdzie odtąd w zupełném odosobnieniu i wielkiém ubóstwie życie pędził. Teraz odwołała go królowa Izabella do Hiszpanii i wróciła mu jego niezmierne dobra, które przez króla Ferdynanda skonfiskowane były. Ma lat 80.

Onis i yes. Mahurowie, plemię Nowéj Zelandyi, napadli niedawno na 30 Anglików, tamże osiadłych, zabili ich i — zjedli. Pewien Francuz opisuje széroko to całe zdarzenie w liście, który francuzkie dzienniki ogłaszają, i przytacza, że właśnie przybył do tych Mahurów w téj chwili, gdy swoję straszną ucztę odbywali. »Rozumiejąc ich język — powiada Francuz — powstałem na nich z gniewem za to okrutne barbarzyństwo i pogroziłem im że ich przez żołnierzy naszego okrętu ukarać każę. Dzicy przelękli się niezmiernie i odrzekli: iż nie jedzą Mahurów ale tylko *yes-yes* (tak nazywają Anglików). Jakoż pokazali mi jeszcze głowę, po któréj poznałem kapitana Wakefielda, który nas przed niedawnym czasem gościnnie w swoim domu przyjmował. Wzdrygnąłem się na ten widok a moi towarzysze czynili mi wyrzuty, iżem rozdrażnił dzikich, których 260 przeciw nam pięciu było. Lecz oni sami nas zaspokoili mówiąc: »*Oui-oui* (tak nazywają Francuzów) są dobrzy ludzie, lecz *Yes-yes* są niegodziwi. Potém powiedzieli nam, że zabili Anglików, ponieważ osiedli na kawałku ziemi, którego sobie od nich nie zakupili wprzódy.«

Buńczuk, jak wiadomo, jest uważany w Tureczczyźnie za znak godności, a godność baszów stosuje się do liczby buńczuków, którą mają prawo kazać nosić przed sobą. Początek tego zwyczaju jest następujący: Turecka armija utraciła w boju chorągiew. Dowódzca widząc to niebezpieczeństwo, odciął koniowi ogon i przypiął go do dzidy, aby żołnierzom nowéj dodać odwagi. Powiodło mu się szczęśliwie, zgromadził rozpierzchły hufiec, uderzył na nieprzyjaciela i wygrał bitwę. Odtąd stał się buńczuk odznaczeniem wojennem a najwyżsi baszowie mają prawo noszenia trzech buńczuków.

Dwa kosztowne przedmioty stroju. Na wystawie przemysłowości w Paryżu widziano dwa nadzwyczajne artykuły: była to suknia damska i chusteczka. Jakkolwiek sztuka naśladowania natury do nieuwierzenia daleko postąpiła, nikt przecież nie umiał dotąd utworzyć tak pięknych skrzydeł motylich, jak je natura tworzy. Wiedział o tém dobrze pewien cierpliwy artysta mód w Paryżu, i nie naśladował, ale wziął prawdziwe skrzydła motyle, poupinał je z niesłychaną zręcznością na przeźroczystéj materyi i utworzył tak suknią, która się nie da z niczém w świecie porównać. Wszyscy którzy ją na wystawie widzieli, nie mogli się dość nadziwić. — Drugą osobliwością jest chusteczka do nosa, nadludzkiéj prawie roboty, która téż jéj młodą wykonawczynię o mało wzroku nie pozbawiła. Chusteczka ta przedstawia cały krajobraz z drzewami, pagórkami, wioskami i rzeką, która nawet znajdujące się na brzegu przedmioty odbija. Pracowita haftarka ma otrzymać 1000 franków nagrody. Dokonała swojego dzieła, ale wzrok jéj został zaledwie najtroskliwszém staraniem uratowany. Nie znalazł się jeszcze dotąd kupiec na tę chusteczkę. Kosztuje ona — sześć tysięcy franków.

Zwłoki Józefa Bonapartego zostały złożone w Florencyi, w kościele Santa Croce, gdzie także popioły Michała-Anioła, Alfierego, Galileja, Macchiavellego i wielu innych sławnych mężów włoskich spoczywają. Ten były władzca dwu królestw wystawiony był przez cały tydzień na katafalku w zwyczajnéj czarnéj sukni, ozdobiony tylko wielkim krzyżem legii honorowéj i łańcuchem złotego runa. Zostawił 15 millijonów franków swojéj żonie i swojéj córce, która z jego synowcem, księciem Mussignano, synem Lucyjana jest zaślubiona. Po śmierci Józefa zostaje jeszcze dwoch braci cesarza przy życiu, to jest: Ludwik Bonaparte, były król hollenderski (urodzony 1778) i Hieronim, były król westfalski (urodzony 1784. r.).

Sułtanka marokańska jest rodowitą Angielką. Ztąd nie byłoby się czemu dziwić gdyby się Anglija w sporze sułtana marokańskiego z Francyją ujęła za państwem marokańskiem, gdyż obaj jego dziedzicy są z angielskiéj matki zrodzone. Najstarszy z obu książąt, mniemany następca tronu, nazywa się Sidi Mohamed i ma 35 lat. Jego niebieskie oczy i jasna broda okazują wpółeuropejskie pochodzenie. Młodszy brat zowie się Muley Ali. Ojciec ich, sułtan Abdurraman, jest jeszcze w sile wieku, między 50 a 60 laty, mocnéj budowy ciała i pełen wielkiéj żywości. Ma się nadzwyczajnie lękać trucizny, i, jak powszechnie słychać, każe zawsze jednemu z synów kosztować wprzódy podane sobie potrawy.

Węże przedmiotem stroju. Damy Floridy i nowéj Hiszpanii, noszą tak zwaną »karmazynową gadzinę«, mającą blizko dwie stopy długości a objętość ludzkiego palca, jako naszyjnik albo jako ozdobę włosów, a Indyjanki wtykają sobie »gadzinę dziewiczą« dla ochłody w zanadrze. Nasze damy nie ścierpiałyby zapewne za nic w świecie wężów we włosach lub na piersi, — ileż jednak wężów chowają w sercu! —

Kto większym panem? Jednego razu przejeżdżał pewien król przez małą wioskę: »Jak się macie?« zapytał wójta który wyszedł z całą gromadą na jego powitanie: »Dobrze, dzięki Bogu,« odpowiedział wójt, »bo co do mnie samego, jestem większym panem, niż wasza królewska mość.« — »A to jakim sposobem?« — »Oto takim, że jeźli wasza królewska mość co rozkażesz, to się natychmiast stanie, ja zaś muszę przynajmniej dziesięć razy rozkazywać nim to przyjdzie do skutku: mam zatém więcéj do rozkazywania, a kto ma więcéj do rozkazywania, ten jest większym panem.« Król wziął sobie tę odpowiedź na uwagę i wyjednał większe posłuszeństwo rozkazom wójta, — aby nie był większym panem od niego.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.